

ERNEST HEMINGWAY

**Za rzekę,
w cień drzew**

Przełożyła Agnieszka Wilga

MARGINESY

Across the River and Into the Trees

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust / Hemingway
Copyright Owners

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION AND AFTERWORD BY
Agnieszka Wilga

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Dla Mary, z miłością

Wobec popularnej ostatnio tendencji do utożsamiania bohaterów literackich z prawdziwymi ludźmi wypada zaznaczyć, że wśród bohaterów tej książki nie pojawiają się rzeczywiste osoby – postaci i ich imiona zostały wymyślone. Nazwy i numery jednostek wojskowych też są fikcyjne. W tekście nie występują żadne żyjące obecnie osoby ani istniejące jednostki wojskowe.

Wyruszyli dwie godziny przed świtem. Początkowo nie musieli nawet rozbijać lodu na kanale, bo uczyniły to łodzie płynące przed nimi. W każdej stał na rufie wiosłarz z długim wiosłem, choć w ciemności nie było go widać, tylko słyszać. Na siedzi-
skach przymocowanych do skrzynek z prowiantem i amunicją
czekali strzelcy, mając w zasięgu ręki co najmniej dwie dubel-
tówki oparte o stos drewnianych kaczek służących za przynęty.
W każdej łodzi leżał worek z żywymi krzyżówkami – jedna czy
dwie samiczki lub kaczka i kaczor. W każdej łodzi był też pies,
który na dźwięk skrzydeł ptaków przelatujących w ciemności
poruszał się niespokojnie i drżał.

Cztery łodzie płynęły głównym kanałem na północ, ku
dużej lagunie. Piąta odbiła już w jego odnogę. Szósta skręci-
ła teraz na południe, ku płytszej lagunie o zamarznętej po-
wierzchni.

Wszędzie roztaczał się świeży lód, powstały wskutek nagłego
przymrozku tej bezwietrznej nocy. Był gumowaty i uginał
się pod naporem wiosła, potem zaś pękał jak szyba, łódź jednak
tylko nieznacznie posuwała się naprzód.

– Podaj pan wiosło – powiedział strzelec w szóstej ło-
dzi. Podniósł się i stanął na mocnych nogach. Słyszał kacz-
ki przelatujące w ciemności, czuł niespokojne ruchy psa. Od

północy dochodziły trzaski lodu łamanego przez pozostałe łodzie.

– Ostrożnie – powiedział wiosłarz. – Żeby jej nie wywrócić.

– Też trochę pływałem – odparł strzelec.

Wziął podane mu długie wiosło i je odwrócił, żeby chwycić za pióro. Następnie wychylił się do przodu i przebił trzonkiem łód. Gdy poczuł twarde dno płytkiej laguny, oparł się całym ciężarem na szerokim piórze, trzymając je obiema rękami, ciągnął, a potem odpychał, dopóki wbity w dno trzonek nie znalazł się bliżej rufy, dzięki czemu łódź napierała na taflę, która pękała jak szkło, a wiosłarz na rufie popychał ich naprzód w powstający przesmyk.

Po pewnym czasie strzelec, który nie ustawał w wysiłkach i w grubej odzieży zaczął się pocić, spytał towarzysza:

– Gdzie jest ta beczka do strzelania?

– Tam, po lewej. Pośrodku następnej zatoczki.

– Mam tam teraz skręcić?

– Wedle uznania.

– Jak to: „wedle uznania”? Przecież zna pan tę okolicę. Poziom wody pozwoli nam tam dopłynąć?

– Kto wie? Jest odpływ.

– Jak się nie pospieszymy, to nie dotrzemy tam przed świtem.

Bez odpowiedzi.

W porządku, marudny draniu, pomyślał strzelec. Jakoś się tam dostaniemy. Pokonaliśmy już dwie trzecie drogi, a jeśli masz problem z tym, że trzeba się przebijać przez lód, żeby dostać się do ptaków, to wielka szkoda.

– Bierz się do roboty, durniu – rzucił po angielsku.

– Co? – spytał tamten po włosku.

– Mówię, że płyniemy dalej. Zaraz będzie świtać.

Już w świetle dnia dopłynęli do sporej dębowej beczki osadzonej na dnie laguny i otoczonej spadzistym wałem ziemi, który obsiano trawą i turzycą. Strzelec ostrożnie stanął na nasypie, czując pod stopami kruszące się zamarznięte lodygi. Pomocnik wyciągnął z łodzi siedzisko ze skrzynką na amunicję i podał je strzelcowi, a ten nachylił się i umieścił je na dnie beczki.

W woderach i starej kurtce wojskowej z niezrozumiałą dla nikogo naszywką na lewym rękawie i z bladymi plamkami na naramiennikach, z których usunięto gwiazdki, zsunął się do beczki. Drugi mężczyzna podał mu dwie strzelby.

Strzelec umieścił je przy ścianie beczki, a między nimi, na dwóch wbitych w nią hakach, powiesił torbę na naboje. Następnie oparł obie dubeltówki o torbę, z dwóch stron.

– Mamy wodę? – spytał.

– Nie mamy.

– A tę z laguny można pić?

– Nie. Nie nadaje się.

Strzelec, spragniony po trudzie kruszenia lodu i przepychania łodzi przez lagunę, czuł wzbierającą złość, ale ją opamnował.

– Może pomogę rozbijać lód, żeby wyrzucić przynęty? – spytał.

– Nie trzeba – odparł ten drugi i gwałtownie wypchnął łódź na cienki lód, który pod jej naporem trząskał i się rozrywał. Wioślarz zaczął go kruszyć piórem wiosła, a potem wyrzucał drewniane kaczki na wodę, w bok i w tył.

Wspaniałe ma nastawienie, pomyślał strzelec. Taki kawał draba. Tyrałem jak wół, żeby się tu przebić. A ten tylko sterczał na łodzi jak kołek. Co go gryzie, do diabła? To przecież jego fach.

Tak umieścił stołek, żeby mieć jak największe pole manewru po lewej i po prawej stronie, otworzył pudełko z nabojami i napełnił kieszenie, a potem otworzył jeszcze jedno pudełko w torbie, żeby łatwo mu było do niego sięgnąć. Przed sobą, na połyskującej w świetle brzasku lagunie, widział czarną łódź i wysokiego, potężnie zbudowanego pomagiera, który rozbijał wiosłem lód i wyrzucał drewniane kaczki za burtę, jakby pozbywał się jakiegoś obrzydlistwa.

Coraz bardziej się rozjaśniało, dostrzegął już niską linię brzegową cypla po drugiej stronie laguny. Wiedział, że znajdują się tam dwa inne stanowiska strzeleckie, za nimi ciągną się moczary, a dalej jest już otwarte morze. Załadował obie strzelby i sprawdził położenie łodzi, wciąż otaczanej przynętami.

Usłyszał za sobą narastający szmer skrzydeł, więc przyczał się, skierował wzrok w górę, ponad krawędź beczki, złapał w prawą dłoń strzelbę czekającą z prawej strony, a potem podniósł się, żeby strzelić do dwóch kaczek, ciemnych plamek na tle szarawego nieba, z rozpostartymi skrzydłami wytracających prędkość i opadających ukosem ku przynętom.

Z pochyloną głową przesunął lufę skośnie w dół, celując w przestrzeń sporo przed drugą kaczką, następnie zaś, nie sprawdzając celności pierwszego strzału, płynnym ruchem przesunął lufę wyżej, na lewo od drugiej kaczki, która się poderwała, a gdy pociągnął za spust, dostrzegł, jak ptak zwija się w locie i opada między przynęty pływające wśród pokruszonego lodu. Przeniósł wzrok w prawo i dostrzegł pierwszą z kaczek, czarną plamę na lodzie. Wiedział, co robi: do pierwszej mierzył bardzo starannie, daleko na prawo od łodzi, drugiej zaś, wzbijającej się wyżej i bardziej na lewo, pozwolił wznieść się na tyle, by mieć pewność, że łódź nie znajdzie się na linii strzału. Piękny dublet, wykonany dokładnie jak

należy, z pełnym uwzględnieniem i poszanowaniem położenia łodzi. Z zadowoleniem przeładował broń.

– Ej, nie strzelaj pan w stronę łodzi! – zawołał pomagier.

A niech mnie, mruknął pod nosem strzelec. Niech mnie wszyscy diabli.

– Wyładowuj pan przynęty! – zawołał do człowieka w łodzi. – Tylko migiem! Nie będę strzelać, dopóki wszystkie nie wylecą za burtę. Chyba że wysoko w górę.

Mężczyzna w łodzi nic nie odpowiedział, a w każdym razie nic, co dałoby się dosłyszeć.

Nie mogę tego pojąć, myślał strzelec. Przecież to dla niego nie pierwszozna. Dobrze wie, że odwaliłem na łodzi połowę roboty, jak nie więcej. W życiu nie strzeliłem do kaczki bezpieczniejszej i ostrożniejszej niż teraz. Co jest z nim nie tak? Proponowałem mu przecież pomoc przy wyrzucaniu przynęt. Niech idzie do diabła.

Pomagier wciąż wściekle tłukł lód, teraz po prawej stronie, i wrzucał do wody drewniane kaczki, a z każdego jego ruchu biła nienawiść.

Nie pozwól mu tego popsuć, rzekł do siebie strzelec. Przy takim lodzie strzelania nie będzie za wiele, chyba że później stopi się w słońcu. I tak pewnie trafisz tylko parę ptaków, nie pozwól więc, żeby ci wszystko popsuł. Nie wiesz, ile jeszcze razy zapolujesz na kaczki, więc nie daj sobie tego popsuć.

Obserwował niebo jaśniejące w oddali, ponad wysuniętym cyplem, a potem obrócił się w becze wpuszczonej w dno i wyrzwał na zamarzniętą lagunę i mokradła wokół niej. W oddali majaczyły zaśnieżone szczyty. Z miejsca znajdującego się tak nisko nie widział pogórza, góry zdawały się wyrastać gwałtownie z równiny. Patrząc w ich stronę, poczuł na twarzy podmuch i zdał sobie sprawę, że z tamtej strony nadejdzie wiatr,

który wzbije się w niebo wraz ze słońcem, a wówczas trochę wypłoszonych ptaków na pewno nadleci od strony morza.

Pomagier skończył wyrzucać z łodzi przynęty. Pływały w dwóch grupkach: część unosiła się na wodzie na wprost strzelca i nieco na lewo, czyli tam, gdzie miało wzejść słońce, część zaś bardziej na prawo. Potem wyciągnął z worka krzyżówkę uwiązaną na sznurku z kotwiczką. Krykucha wsadziła łebek pod wodę, a potem naprzemiennie go wynurzała i znów chowała, opryskując sobie grzbiet.

– Może warto by rozbić jeszcze trochę lód po brzegach? – zawołał strzelec. – Za mało tu wody, żeby je zwabić.

Pomagier nic nie odpowiedział, zaczął tylko tłuc wiosłem w wyszczerbioną krawędź lodowej pokrywy. Całe to roztrzaskiwanie lodu wcale nie było konieczne, dobrze o tym wiedział. Lecz nie wiedział tego strzelec i myślał: Nie rozumiem go, ale nie mogę pozwolić, żeby wszystko mi popsuł. Muszę mieć pełną kontrolę i nie dać mu jej przejąć. Każdy strzał może być twoim ostatnim i żaden smętny sukinkot nie może ci tego popsuć. Trzymaj nerwy na wodzy, chłopaku, mówił sobie.

Ale chłopakiem przecież nie był. Miał pięćdziesiątkę na karku i był pułkownikiem piechoty w armii Stanów Zjednoczonych, a w celu przejścia badań medycznych, które odbył na dzień przed przybyciem do Wenecji na to polowanie, łyknął tyle nitromannitu, żeby spokojnie... sam nie wiedział co, chyba po prostu je przejść, tak sobie mówił.

Lekarz patrzył na niego dość sceptycznie, zanotował jednak wyniki, sprawdzivszy je dwukrotnie.

– Wiesz co, Dick – rzucił – przy podwyższonym ciśnieniu śródgałkowym i wewnątrzczaszkowym to niewskazane, a nawet mocno przeciwwskazane.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł strzelec, który w tej sytuacji nie był strzelcem lub był nim tylko potencjalnie, ale był za to pułkownikiem piechoty w armii Stanów Zjednoczonych, zdegradowanym ze stopnia generała.

– Znamy się już od dawna, pułkowniku. A może tak mi się tylko zdaje – dodał lekarz.

– Minęło wiele lat – zgodził się pułkownik.

– Moglibyśmy pisać piosenki – zauważył lekarz. – Ale jak już się tak nafaszerujesz nitrogliceryną, to uważaj, żeby się o nic nie rozbić ani żeby cię nie dosięgnęła jakaś iskra. Powinni ci docześcić taki łańcuch do uziemienia jak przy cysternach z paliwem.

– Ale kardiografia wyszła w porządku?

– Wprost wspaniale, pułkownika. Jak u dwudziestopięcioletka. A może nawet dziewiętnastolatka.

– To o co ci chodzi?

Po takiej dawce nitromannitu czasem trochę go mdliło, nie mógł się więc doczekać, aż wizyta dobiegnie końca. Nie mógł się też doczekać, aż się położy i łyknie seconal. Powiniennem napisać podręcznik ruchów taktycznych dla plutonu podwyższonego ciśnienia, pomyślał. Chętnie bym mu to powiedział. Może powiniennem zdać się na łaskę sądu? Nigdy tego nie robisz, napomniął się. Zawsze twierdzisz, że jesteś bez winy.

– Ile razy oberwałś w głowę? – spytał lekarz.

– Dobrze wiesz. Mam to w papierach.

– A ile razy dostałeś po głowie?

– Chryste Panie. – Chwila milczenia. – Pytasz na potrzeby wojska czy jako mój lekarz?

– Jako twój lekarz. Nie pomyślałeś chyba, że chcę ci narobić kłopotów?

– Nie, Wes. Przepraszam. To o co właściwie pytałeś?

– O wstrząśnienia mózgu.

– Takie prawdziwe?

– Takie, że traciłeś przytomność lub miałaś potem kłopoty z pamięcią.

– Może z dziesięć. Wliczając w to grę w polo. Plus minus trzy.

– Biedny stary draniu... – powiedział lekarz. – To znaczy szanowny panie pułkownika – dodał.

– Mogę już iść?

– Tak. Dobrze się trzymasz.

– Dzięki. Może chcesz się wybrać na kaczki na mokradła przy ujściu Tagliamento? Świetne miejsce do polowania, na-

leży do sympatycznych młodych Włochów, których poznałem w Cortinie.

– Strzelają tam do łysek?

– Nie. Tam akurat polują na prawdziwe kaczki. To dobre chłopaki i dobre miejsce. Prawdziwe kaczki. Krzyżówki, rożeńce, świstuny. Czasem jakieś gęsi. Zupełnie jak w domu, w czasach naszej młodości.

– Moja młodość przypadła na rok dwudziesty dziewiąty i trzydziesty.

– To pierwsza złośliwość, jaką słyszę z twoich ust.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Po prostu nie pamiętam czasów wspaniałych polowań na kaczki. Poza tym jestem miastowy.

– I to jest właśnie, cholera, jedyny z tobą problem. Jeszcze nie widziałem miastowego, który byłby coś wart.

– Wcale tak nie myślisz, prawda, pułkowniku?

– Pewnie, że nie. Dobrze o tym wiesz.

– Dobrze się trzymasz, pułkowniku. Przykro mi, że nie mogę się wybrać na to polowanie. Nie umiem nawet strzelać.

– Do licha, to akurat bez różnicy. W naszym wojsku nikt nie umie. Ucieszyłbym się, gdybyś się przyłączył.

– Dam ci coś, co uzupełni te twoje specyfiki.

– A jest coś dobrego?

– Nie bardzo. Ale coś tam próbują wymyślić.

– To niech wymyślają – stwierdził pułkownik.

– Godna podziwu postawa, pułkowniku.

– A idź do diabła. Na pewno nie chcesz się wybrać?

– Na kaczkę chodzę do Longchamps przy Madison Avenue – powiedział lekarz. – W lecie mają tam klimatyzację, zimą ogrzewanie. No i nie muszę wstawać przed świtem i wkładać kalesonów.

- Dobra, miastowy chłopaku. Nawet się nie dowiesz, co tracisz.

- Nigdy mnie to nie ciekawiło. Dobrze się trzymasz, pułkowniku.

- Dzięki - rzucił pułkownik i wyszedł.

To było przedwczoraj. Wczoraj natomiast jechał z Triestu do Wenecji starą drogą prowadzącą z Monfalcone do Latisany i dalej przez równinę. Miał dobrego kierowcę, więc odpoczywał na przednim siedzeniu i patrzył na okolicę poznaną za młodu.

Wszystko wygląda teraz całkiem inaczej, myślał. Pewnie dlatego, że pozmiały się odległości. Gdy człowiek jest starszy, wszystko wydaje się dużo mniejsze. No i drogi są teraz lepsze, nie ma tyle pyłu. Tylko czasem jeździłem tędy ciężarówką, zwykle chodziliśmy na piechotę. Wciąż wypatrywałem wtedy plam cienia, w których czasem dawano nam odpocząć, a także studni na podwórzach. No i jeszcze rowów, pomyślał. Stale wypatrywałem rowów, to na pewno.

Zatoczyli łuk i przejechali tymczasowym mostem nad rzeką Tagliamento. Jej brzegi się zieleniły, a po drugiej stronie, przy pasie głębszej wody, mężczyźni łowili ryby. Zbombardowany most właśnie odbudowywano pośród stukotu młotów do nitowania, a kilkaset metrów dalej ruiny wzniesionej dawno temu przez Longhenę wiejskiej willi oraz budynków gospodarczych wskazywały, gdzie średnie bombowce zrzuciły swoje ładunki.

– Proszę spojrzeć – powiedział kierowca. – W tym kraju, jeśli widzi się most lub stację kolejową, to potem wystarczy

odjechać kilkaset metrów w dowolnym kierunku i znajdzie się coś takiego.

– Morał z tego chyba taki, żeby nie budować sobie rezydencji ani kościoła, ani nie zatrudniać Giotta do malowania fresków w kościele, jeśli w zasięgu kilkuset metrów stoi jakiś most.

– Tak myślałem, że jakiś morał musi w tym być, panie pułkowniku.

Minęli już ruiny willi i jechali prostą drogą porośniętą przy rowach wierzbami, wciąż jeszcze burymi z powodu zimy, wśród pól pełnych drzew morwowych. Przed nimi pedałowal na rowerze mężczyzna, czytając gazetę trzymaną w obu dłoniach.

– Lecz przy ciężkich bombowcach morał mówiłby o zasięgu do dwóch kilometrów – dodał kierowca. – Zgadza się, panie pułkowniku?

– A przy pociskach raketowych: dla bezpieczeństwa tak do czterystu kilometrów. Zatrąbcie może na tego rowerzystę.

Kierowca zatrąbił, a człowiek na rowerze zjechał na bok, nie podnosząc wzroku i nie dotykając kierownicy. Gdy go mijali, pułkownik usiłował dostrzec, jaką gazetę czyta, ale była złożona.

– Pewnie lepiej w ogóle nie budować teraz pięknych domów i kościołów ani nie zamawiać fresków u tego tam, jak pan mówił?

– Giotta. Ale równie dobrze mógłby to być Piero della Francesca czy Andrea Mantegna. Albo Michał Anioł.

– Dużo pan wie o malarzach, panie pułkowniku? – spytał kierowca.

Jechali teraz prostym odcinkiem drogi i tak pędzili, że kolejne mijane gospodarstwa się rozmywały i zlewały jedno

z drugim, widzieli więc tylko to, co było daleko na wprost i stopniowo się zbliżało. Po bokach śmigał jedynie skondensowany obraz płaskiej zimowej niziny. Nie jestem pewien, czy lubię taką prędkość, pomyślał pułkownik. Breughel pewnie by za wiele nie zdziałał, gdyby miał przyglądać się okolicy w taki sposób.

– O malarzach? – zwrócił się do kierowcy. – Coś tam może i wiem, Burnham.

– Ja jestem Jackson, panie pułkowniku. Burnham przebywa w ośrodku wypoczynkowym w Cortinie. To piękne miejsce.

– Głupieję na stare lata – odparł pułkownik. – Przepraszam, Jackson. Tak, to piękne miejsce. Z dobrą wyzerką i sprawnie zarządzane. Nikt tam człowiekowi głowy nie zawraca.

– Tak jest, panie pułkowniku – zgodził się Jackson. – Pytałem o malarzy przez te Madonny. Pomyślałem sobie kiedyś, że warto by pooglądać obrazy, więc poszedłem do tej wielkiej galerii we Florencji.

– Której? Uffizi? Pitti?

– Jak tam ją zwą. Do tej największej. I tyle czasu się tym obrazom przyglądałem, że w końcu Madonny zaczęły mi wychodzić uszami. Mówię panu, panie pułkowniku, jak kto nie jest znawcą tego całego malarstwa, to da radę obejrzeć tylko ileś tam Madonn, a potem już mu odbija. Wie pan, jaką mam teorię? Jak pan wie, oni tu wszyscy mają hopla na punkcie *bambini*, a im mniej mają do jedzenia, tym więcej mają *bambini* i kolejne w drodze. No więc ja myślę, że ci malarze pewnie tak samo uwielbiali *bambini* jak inni Włosi. Nie znam tych, o których pan teraz wspominał, więc ich nie uwzględniam w tej teorii, pan to pewnie potem sprostuje. Ale mnie się zdaje, że te Madonny, co to ich naprawdę widziałem sporo, panie pułkowniku, mnie się zdaje, że ci malarze od tych zwykłych

Madonn, to oni w pewnym sensie wyrażają tę całą sprawę z tymi *bambini*, jeśli pan wie, o czym mówię.

– No i oczywiście musieli się ograniczać do tematów religijnych.

– Tak, panie pułkowniku. Więc sądzi pan, że ta moja teoria ma sens?

– Pewnie. Choć myślę, że to nieco bardziej skomplikowane.

– Oczywiście. To tylko taka teoria robocza.

– Macie jeszcze jakieś teorie na temat sztuki, Jackson?

– Nie, panie pułkowniku. Na razie wymyśliłem tylko tę o *bambini*. Wolałbym natomiast, żeby malowali dobre obrazy przedstawiające góry wokół ośrodka w Cortinie.

– Tycjan pochodził z tamtych okolic – powiedział pułkownik. – Tak przynajmniej mówią. Wybrałem się kiedyś nieco dalej w dolinę i widziałem dom, w którym się ponoć urodził.

– Ładny ten dom, panie pułkowniku?

– Taki sobie.

– No bo gdyby namalował jakiś obraz przedstawiający te okolice tam na górze, z kolorowymi skałami o zachodzie słońca, sosnami, śniegiem i tymi wszystkimi spiczastymi wieżyczkami...

– To kampanile, czyli dzwonnice – powiedział pułkownik. – Takie jak ta przed nami, w Ceggii.

– No więc gdyby namalował jakieś takie naprawdę dobre obrazy tamtych okolic, to na pewno parę bym kupił.

– Malował piękne portrety kobiet – zauważył pułkownik.

– Gdybym miał, powiedzmy, knajpę, gospodę czy zajazd, to taki widoczek by mi się przydał – ciągnął kierowca. – Ale gdybym przyniósł do domu podobiznę jakiejś baby, to moja stara by mnie przegoniła z Rawlins do Buffalo. O ile w ogóle dałaby mi zwiac.

– Mógłbyś przekazać obraz miejscowemu muzeum.

– W naszym muzeum mają tylko groty od strzał, pióropusze, skalpy i noże do skalpowania, skamieniałe ryby, fajki pokoju, zdjęcia Johnstona Wątrobożercy, no i jeszcze skórę jakiegoś złoczyńcy, którego powiesili, a jeden doktor mu ją ściągnął. Portret kobiety nie bardzo by tam pasował.

– Widzisz tę kampanię, tam dalej, na równinie? – spytał pułkownik. – Pokażę ci jedno miejsce, gdzieśmy walczyli, gdy byłem młodym chłopakiem.

– Pan też tu walczył, panie pułkowniku?

– Tak.

– Kto w tamtej wojnie zajął Triest?

– Szkopy. To znaczy Austriacy.

– A myśmy go odbili?

– Dopiero na koniec, jak już było po wszystkim.

– A kto zajął Florencję i Rzym?

– My.

– No to nie mieliście chyba aż tak znowu najgorzej.

– Panie pułkowniku – dodał łagodnie pułkownik.

– Bardzo przepraszam – powiedział szybko kierowca. – Ja byłem w Trzydziestej Szóstej Dywizji, panie pułkowniku.

– Widziałem naszywkę.

– Myślałem o bitwie nad Rapido. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało niegrzecznie czy lekceważąco.

– Rozumiem. Po prostu myśleliście o bitwie nad Rapido. Słuchajcie, Jackson, każdy, kto spędził trochę czasu na wojnie, ma swoje Rapido, czasem nawet niejedno.

– Ja bym nie zniósł więcej niż jednego, panie pułkowniku.

Wjechali do przyjemnego miasteczka San Donà di Piave. Zostało odbudowane i składało się głównie z nowych budynków, lecz nie było brzydsze od miasteczek na Midweście,

a przy tym równie dostatnie i wesołe, jak nędzna i ponura jest Fossalta, ledwie kawałek dalej w górę rzeki, pomyślał pułkownik. Czy Fossalta po pierwszej wojnie światowej jeszcze się nie podźwignęła? Oberwała, zanim ją ujrzałem, pomyślał. W osiemnastym roku mocno ją ostrzelali przed wielką ofensywą z piętnastego czerwca. A później myśmy ją jeszcze mocniej ostrzelali i dopiero potem przeszli. Wspominał, jak szli do ataku przez Monastier, a potem Fornaci. W ten zimowy dzień wspominał, jak było wtedy w lecie.

Kilka tygodni wcześniej przejeżdżał przez Fossaltę i skierował samochód na drogę na nasypie, żeby odnaleźć miejsce na brzegu rzeki, gdzie wtedy oberwał. Łatwo je było namierzyć, bo rzeka w tym miejscu tworzy zakole, a dół, w którym stał wówczas ciężki karabin maszynowy, równo zarósł trawą. Przystrzygły ją owce czy kozy, tak że wyglądał jak specjalnie przygotowane zagłębienie na polu golfowym. Rzeka w tym miejscu płynęła leniwie, błotnisto-niebieska, przy brzegach porośnięta trzcina, a że nikogo nie było nigdzie widać, pułkownik przykucnął ze wzrokiem utkwionym w przeciwległym brzegu, choć wtedy nie wolno było za dnia wystawiać nawet głowy, i się wypróżnił, dokładnie w tym samym punkcie, w którym, jak ocenił za pomocą triangulacji, trzydzieści lat wcześniej został ciężko ranny.

– Niezbyt ambitne dzieło – powiedział na głos do rzeki i jej brzegu, ociążałych od jesiennej ciszy i zalanych deszczem. – Ale przynajmniej moje własne.

Wstał i się rozejrzał. Nikogo nie dostrzegł, a samochód stał nieco dalej na drodze, przed ostatnim, najsmutniejszym odbudowanym domem w Fossalcie.

– To teraz dokończę pomnik – powiedział na głos, choć słuchali go tylko umarli, po czym wyjął z kieszeni stary solingeni-

ski scyzoryk, taki, jakie noszą niemieccy kłusownicy. Otworzył go do końca, aż cyknęła blokada, a potem okrężnym ruchem wyciął równy płat wilgotnej ziemi. Otarł nóż o swój prawy but wojskowy, a następnie wetknął w dołek brązowy banknot o nominale dziesięciu tysięcy lirów, ubił na nim ziemię i położył na to odłożoną wcześniej na bok trawiastą pokrywę.

– To będzie dwadzieścia lat po pięćset lirów rocznie za Medaglia d'Argento al Valor Militare. Krzyż Wiktorii wart jest może z dziesięć gwinei, Krzyż za Wybitną Służbę nic, a Srebrna Gwiazda jest gratis. Resztę zachowam dla siebie.

Teraz już w porządku, pomyślał. Są pieniądze, łajno i krew. Tylko spójrz, jak rośnie tu trawa, a w ziemi leży żelazo wraz z nogą Gina, obiema nogami Randolfa oraz moją prawą ręką. To wspaniały pomnik, zawiera wszystko: żyzność, pieniądze, krew i żelazo. Można na nim budować naród. Tam gdzie są pieniądze, żyzność, krew i żelazo, tam jest ojczyzna. Potrzeba nam jednak węgla. Musimy zdobyć węgiel.

Potem spojrzął na stojący na drugim brzegu odbudowany biały dom, który dawniej był kupą gruzu, i splunął do rzeki. Ledwo trafił do wody, bo stał dość daleko.

– Tamtej nocy i jeszcze długo potem nie byłem w stanie splunąć – powiedział. – Ale teraz nieźle mi idzie jak na kogoś, kto nie zuje gumy.

Powolnym krokiem wrócił do miejsca, gdzie stał samochód. Kierowca spał.

– Obudź się, synu – powiedział pułkownik. – Zawracamy i jedziemy drogą na Treviso. Na tym odcinku niepotrzebna nam mapa, będę mówił, gdzie skręcać.